

marcin pieczynski

ŁUKASZ,
A MÓGŁ BYĆ KTO INNY:
KSIĄŻKA WYJŚCIA



Poniższy fragment pochodzi z książki, która wydana została własnym sumptem przeze mnie jako Autora i jest moją własnością. Udostępniam go tutaj wyłącznie do użytku ściśle „wewnętrznego i prywatnego" czytelników: proszę, szanując prawo autorskie, nie używać go w celach komercyjnych –

[...] W nowej klasie nie znał nikogo, ale też nikt nie znał jego – był nikim. I ta okoliczność wydała mu się bardzo atrakcyjna. Jakby dostał drugą szansę: tylko od niego zależało, kim będzie – to znaczy, za kogo go tutaj będą brali. To co było zostawić jak nie swoje, odciąć się. Liczy się tylko to, co będzie. Zresztą, przecież dotychczas właściwie nic się jeszcze nie stało.

Większość klasy – a przynajmniej ta jej najbardziej pewna siebie cześć, od razu i wręcz ostentacyjnie demonstrująca, że jest tutaj u siebie – to były dzieci rodziców pracujących na pobliskiej politechnice. Widać było, że się znają – choćby z kolonii i zimowisk, na które zapewne jeździli wspólnie już w podstawówce. Pozostali to przybłędy – a wśród nich Łukasz.

A przecież mógł być jednym z nich. Gdyby tylko mama z tatą byli oboje wciąż jego rodzicami. Ale nie byli. Jego ojciec – któremu Łukasz nie miał szansy zawdzięczać nic oprócz życia – też był pracownikiem politechniki, ale od dawna miał już inną żonę, która nie była mamą Łukasza. I właściwie jakby go nie było. Ogólniak, w którym Łukasz właśnie rozpoczynał naukę, cieszył się sławą *szkoły przy-politechnicznej* (profil matematyczno-fizyczny i oczywiście najlepsza szkoła w mieście – a jakże!). Gdyby go zapytano, kim właściwie chciałby być i co robić w przyszłości, nie potrafiłby wtedy odpowiedzieć na to pytanie. Jedno wszakże wiedział prawie na pewno, to znaczy, było to dla niego tak oczywiste, że nawet nie musiał sobie tego w pełni uświadamiać: po maturze – która wtedy wydawała się tak odległa jak Sąd Ostateczny – nie pójdzie studiować na polibudę. *Politechniczne dzieci* działały mu trochę na nerwy: na każdym kroku starały się pokazać, że w nowych warunkach, w jakich się znalazły, nic nie jest dla nich tak naprawdę ani nowe, ani dziwne. Że przeszły tylko przez most, ale idą cały czas tą samą drogą – przekroczyły wprawdzie Rubikon, ale nic w tym dziwnego, taki przecież był plan, znany od dawna: będą inteligencją, elitą. Łu-

kasz tymczasem nie miał żadnego planu. Nie wiedział dokąd idzie.

Tomek też był w klasie jakby z boku – ale od razu bardzo widocznie. Wyglądał na zrezygnowanego, był małomówny, miał smutne oczy. A jakie to wszystko było wyraźne – widoczne z daleka! Ze swoją obcością obnosił się wręcz demonstracyjnie, jakby chciał wszystkim powiedzieć: patrzcie na mnie, jestem outsiderem. Ale do tego, żeby być prawdziwym outsiderem, a nie po prostu byle kim, potrzeba zawsze jeszcze kogoś, kto to zauważy, kto zwróci na to uwagę, zainteresuje się. I tym kimś miał się wkrótce stać Łukasz.

Jak na odludka, Tomek okazał się bardzo gościnny: niemal z miejsca zaprosił Łukasza do siebie. Tomek mieszkał w domu dla lepszych ludzi. Łukasz pierwszy raz był wtedy w domu lekarzy. Tomek miał własny pokój, a w nim swój prywatny sprzęt grający i kasety z muzyką z Zachodu. Czego słuchasz? – zapytał Łukasza już po drodze, jeszcze zanim doszli na miejsce. Łukasz tymczasem właściwie niczego nie słuchał; owszem, wiedział, że *się słucha* tego albo tamtego, i że jeżeli słuchasz tego, to dlatego musisz *nie słuchać* tamtego – ale sam jakoś nie zdążył jeszcze podjąć tej ważnej decyzji życiowej, czego słuchać.

– Dorsi to jest prawdziwa muzyka – powiedział Tomek. – A to, co tutaj się gra i śpiewa, to popłuczyny. Dobre dla gówniarzy. – Piętnastoletni Tomek najwyraźniej od dawna już nie był gówniarzem. – I dżenis-dżoplin.

Tak właśnie to usłyszał: *dorsi* i *dżenis-dżoplin*. Nic to Łukaszowi nie mówiło.

Ojciec Tomka był lekarzem i zawodowym wojskowym zarazem; po drugiej stronie ulicy, przy której mieszkali, była jednostka wojskowa i szpital, w starych, jeszcze poniemieckich budynkach z czerwonej cegły (gdzie przed wojną była ponoć siedziba Gestapo).

– Tutaj – powiedział Tomek. – To moje okno

Nie można było mieć wątpliwości, o które okno chodzi: na szarym tynku pod parapetem wyraźnie widać było wydrapa-

ny napis: MAKE LOVE NOT WAR. Łukasz nie potrafił ukryć zdziwienia: pozwolili ci?

– Trochę się na początku burzyli. Ale bardziej chyba dla zachowania pozorów tylko. W końcu dali spokój – Tomek odpowiedział tonem z lekka drwiącym. – Bo wiesz, tak wypada. Okazać niezadowolenie, gdy coś nie jest dokładnie tak, jak niby powinno być. Konwenanse, to jest smycz, na której chodzimy wszyscy jak psy. Moda – drugi strażnik. W więzieniu jesteśmy. Ale tylko dlatego, że sami się do tego więzienia zamykamy: ciasno, ale sucho, na głowę nie pada. Zgadzamy się na każdą odpowiedź, jaką nam wciskają. Bez pytania. Kultura. Jaka kultura? – przecież to zwykła tresura, przysposobienie do życia w stadzie!

Tomek był *nonkonformistą*. Wcześniej Łukasz nie spotkał się z tym słowem. Tomek znał wiele słów, które Łukaszowi nic jeszcze nie mówiły, i w tych słowach… całkiem dobrze się znajdował. Co znaczyły słowa wypisane pod oknem Tomka – tego Łukasz też jeszcze za dobrze nie rozumiał; angielskiego miał się dopiero zacząć uczyć.

– Dosłownie: róbcie miłość, a nie wojnę – wyjaśnił Tomek. – Człowiek powinien być wolny. Niech nikt nie każe mu robić rzeczy, na które ten nie ma ochoty. I niech nie zakazuje mu tego, na co akurat ten ma ochotę największą. Niech go nikt do wojska nie bierze, bo nie po to się człowiek rodzi, żeby zabijać. Człowiek najlepsze swoje lata chciałby przeżyć w radości, a tymczasem wciskają go w mundur i wysyłają do Wietnamu, żeby strzelał do ludzi, których nie zna i o których nie wie nic poza tym, że ma do nich strzelać, bo taki jest jego patriotyczny obowiązek. – Łukasz słuchał jak urzeczony. – A powiedz sam, co mnie może obchodzić jakiś Wietnam? – zapytał Tomek. I zaraz sam odpowiedział na to pytanie: – Do dupy z takim patriotyzmem! Patriotyzm to słowo, które wypisuje się na biletach do piekła.

Tomek był *pacyfistą*. Służbę w wojsku – i w ogóle wojsko oraz wszystko, co się z tym wiąże, a wojnę w szczególności – uważał za bezsens i idiotyczną zabawę, w której człowiek

udziału brać nie powinien. Łukasz też słyszał, głównie od starszych kolegów z podwórka, że „pójście do woja to syf i czas wycięty z życiorysu" i że jeśli tylko się da, człowiek powinien się od tego *migać*. Czyli, wychodziło na to, ci koledzy też byli pacyfistami. A tamci chłopcy w wojskowych mundurach, wysłani na mróz przez Generała, bo „ojczyzna znalazła się nad przepaścią", grzejący sobie dłonie przy koksownikach? – oni przecież (widać było to w ich oczach) też mieli wtedy gdzieś to całe ratowanie ojczyzny. Czyli to też byli pacyfiści. I wreszcie, o nich też Łukasz pomyślał w tej chwili (chociaż miało nie być nic o przeszłości), tamci hitlerowcy przy studni, o których opowiedziała mu mama, którzy „byli zmęczeni i nic im się już nie chciało" – oni też byli pacyfistami? I tylko powstańcy warszawscy – dziwne, ale na to wychodzi – nie byli pacyfistami: oni jedni z własnej woli rzucili się do walki, poszli na wojnę, chociaż mogli tego nie robić. Łukasz popatrzył trochę niepewnie na Tomka, jakby w obawie, że tamten mógłby przejrzeć jego myśli, które tak nagle, i wcale nie proszone, przyszły mu do głowy – to dopiero byłaby kompromitacja! Ale nie, Tomek niczego nie zauważył, zbyt zajęty własnymi słowami.

Tomek mówił jak w transie – a Łukasz słuchał jak zauroczony. I chociaż mógł przy tym poczuć się jak ostatni gówniarz – nic nie wiedział o świecie, bo nie wiedział nawet, czego słuchać, nie miał własnego magnetofonu – jakoś mu to nie przeszkadzało. Bo oto dostał szansę, by raz-dwa nadrobić wszystkie zaległości: zaraz dowie się wszystkiego, co i jak. Podgoni czas. A kto wie, może nawet trochę go wyprzedzi. Wystarczy tylko, że będzie się trzymał Tomka.

– Wszystko to, jak się nad tym dobrze zastanowić, jest w sumie bez sensu – powiedział Tomek. Łukasz nie za bardzo wiedział, co Tomek ma na myśli: jakie wszystko? – Ta cała gonitwa. Wyścig szczurów. Najpierw każą ci do szkoły chodzić, uczyć się. Ale po co? Żebyś więcej wiedział? – nie! Żebyś potem mógł mieć pracę, w której będziesz lepsze pieniądze zarabiać. A po co ci te pieniądze? Żeby kupować coraz to

większy dom, lepszy samochód, żeby na wczasy sobie pojechać do Hiszpanii czy na Hawaje. I co z tego, że to masz? Przecież to złota klatka. Bo tak naprawdę, to jesteś tylko niewolnikiem stylu życia, który dałeś sobie narzucić, dałeś się pokornie jak bydlę wprząc do kieratu. – Łukaszowi w głowie zaczęło się kręcić od tych opowieści: za dużo tego jak na jeden raz. Tomek tymczasem zmierzał do konkluzji: – To już lepiej w ogóle nie zaczynać. Chodzić w podartych dżinsach, ale za to duszę mieć nie z plastiku. Być sobą, a nie bezmyślnym konsumentem wyciętym z gazety. Coca-Cola to niewola. Odmówić udziału, wypisać się z tego. Tak jak hipisi to zrobili – a przynajmniej próbowali zrobić: zamiast harować – nie robić nic. Bo jak raz się dasz w ten kanał wpuścić, to w końcu i tak wylądujesz w Wietnamie. Gdzie umierać będziesz za ojczyznę, nie wiedząc tak naprawdę, dlaczego umierasz; ale trupem będziesz naprawdę.

– Może zresztą zanim jeszcze naprawdę cię zabiją – powiedział Łukasz. Odważył się w końcu zabrać głos, dotąd tylko słuchał.

– Żebyś wiedział! – Tomkowi najwyraźniej spodobało się to, co usłyszał. – Żebyś wiedział: może zanim jeszcze cię naprawdę zabiją. Nie trzeba być zabitym na amen, żeby być trupem. Można długo żyć w dobrym zdrowiu – i być trupem.

I może właśnie wtedy zaczęła się ich przyjaźń. A przynajmniej może ten moment wskazałby Łukasz potem, po latach, gdyby ktoś go zapytał: a kiedy właściwie to się zaczęło, dokładnie? Więc wtedy.

– Hipisi powiedzieli: nie. My do Wietnamu nie jedziemy. To nie jest nasza sprawa. Nie chcemy dłużej uczestniczyć w tym wszystkim, ani w waszej wojnie, ani w waszych zakupach. Chcemy żyć po swojemu. I zrobimy to. Już to robimy. Nie chcemy z tym czekać do jutra, bo przecież jutro to zawsze jutro, a żyjemy zawsze dziś. – Mówiąc o hipisach Tomek gładko przeszedł do pierwszej osoby liczby mnogiej: zaczął od tego, co mówili i czego chcieli hipisi, a skończył na tym, czego chcemy „my".

Wychodziło więc na to, że do tego wszystkiego był Tomek także hipisem, i że tym hipisem nie był w pojedynkę. Miał towarzyszy, dzięki którym mógł o sobie mówić „my"; to dodawało mu pewności siebie.

Więc i Łukasz zapragnął być hipisem.

To było właśnie to, czego potrzebował. Wolność. I w sumie łatwizna: jeśli na coś nie masz ochoty, nie robisz tego; jeśli coś ci się nie podoba, nie przyjmujesz tego do akceptującej wiadomości.

– Bądźmy realistami: żądajmy niemożliwego! – powiedział Tomek. – Tak mówili.

Kto mówił? I skąd Tomek o tym wszystkim wiedział?

Tomek dużo czytał. To z książek – a nie tylko z zachodnich płyt – wiedział o tylu rzeczach i sprawach, o których Łukasz nie miał wcześniej zielonego pojęcia; chociaż i on przecież też coś tam czytał, ale widocznie czytał nie to, co czytać się powinno; może za dużo w jego lekturze było książek przeterminowanych. Na przykład o wojnie w Wietnamie, o której Tomek co chwila mówił, nie wiedział Łukasz nic – a przecież bez tej wiedzy nie sposób było zostać hipisem.

I bez starych, wytartych dżinsów, które należy nosić na tyłku, chociaż już od dawna powinny one zostać na śmietnik wyrzucone – i właśnie dlatego.

Tomek miał takie, powycierane i nawet już połatane: wyglądały imponująco. Rodzice, którzy swojemu ukochanemu, jedynemu synkowi nieba by przychylili – a mieli do tego więcej środków niż przeciętni rodzice – kupili mu w Peweksie nowiutkie dżinsy jeszcze gdy był uczniem podstawówki. Który wtedy, jak wszyscy inni, także *pisał do firm*: Łukasz zauważył na biurku Tomka nie do końca zdarte nalepki Coca-Coli. Tomek najwidoczniej próbował je potem odkleić, ale nie w pełni mu się to udało: został ślad. Tak samo można by spojrzeć teraz również i na te spodnie, jako na pozostałość po czasie, kiedy Tomek zadawał szyku nowiutkim dżinsami jak z Zachodu – ślad po czasach, kiedy chciał być od innych lepszy o całą furę dobra. Ale teraz już do czego innego miały mu one służyć.

Chociaż rodzice chcieli mu kupić nowe – bo te się już zużyły – Tomek uparł się, że właśnie w tych będzie chodził: bo się zużyły. Dzięki tym spodniom mógł w bardzo przekonujący sposób – i z daleka widoczny – pokazać światu, że się wypisał z „wyścigu szczurów", że już mu na dobrach konsumpcyjnych nie zależy.

Łukasz takich spodni nie miał. Jego mama nie miała dolarów, żeby mu dżinsy w Peweksie kupować, Łukasz nie mógł zatem zostać hipisem w taki sposób, jak to uczynił Tomek – nie było go na to stać. Musiał poradzić sobie inaczej. Drogą wielokrotnej wymiany towarowej wszedł w posiadanie wojskowej kurtki, którą własnym przemysłem zafarbował następnie na czarno (wyszedł z tego farbowania kolor ciemnoszary) – i tak przygotowany strój ozdobił na końcu wpiętym w kołnierz (tam gdzie kiedyś wpinało się oporniki) znaczkiem z podobizną Johna Lennona, za który zapłacił jak na swoją kieszeń wcale niemało. Oczywiście, nie był to Lennon z radosnego okresu beatlesowskiego, lecz z tego późniejszego, gdy już na własny rachunek śpiewał „Give peace a chance".

O Lennonie, że był hipisem i śpiewał o świecie, w którym nie będzie już żadnej własności, ani religii, żadnych granic ani krajów, gdzie wszyscy będą jednym i w ogóle będzie jak w raju, dowiedział się też oczywiście od Tomka. Tomek dużo wiedział. Ale – i to też było w nim takie pociągające – tej swojej wiedzy nie używał do tego, żeby sobie (a tym bardziej innym) życie ułatwiać, lecz raczej przeciwnie, by tym bardziej je komplikować. Z tą inklinacją do przekory mógłby zostać w przyszłości intelektualistą, pisarzem albo nawet filozofem (chociaż nie profesorem filozofii; o ile bowiem filozof raczej męczy pytaniami, profesor filozofii uspokaja odpowiedziami) – gdyby nie został w końcu tylko pijakiem.

– A wiesz, że wtedy, gdy tak głośno krytykował cały ten konsumpcyjnym styl życia, w jaki ludzie dali się wplątać, i razem z Yoko Ono otwarcie kontestował amerykański establishment, Lennon mieszkał sobie w najdroższej dzielnicy Nowego Jorku, prowadząc bogate i luksusowe życie sybaryty? –

Ale to powiedział Tomek Łukaszowi dopiero potem. Najpierw opowiedział mu jedynie o tym, jak to Lennon, gdy Beatlesi swoją muzyczką podbili już cały świat, rzucił ten cały komercyjny cyrk, zapuścił włosy – i przeszedł na stronę hipisów. O tym, że w ten sposób stał się jednym z najbogatszych hipisów na świecie, powiedział Łukaszowi dopiero wtedy, gdy ten miał już znaczek Lennona wpięty w kołnierz z trudem zdobytej i własnoręcznie zafarbowanej wojskowej kurtki.

Na początku niemal po każdej rozmowie z Tomkiem Łukasz sprawdzał w słowniku wyrazów obcych, co tym razem zostało mu powiedziane: „konsumpcjonizm", „establishment", „kontestacja", „sybaryta"... – Tomek znał wiele słów, których Łukasz wcześniej od nikogo nie słyszał. Tomek w ogóle znał bardzo dużo słów – i ważnych nazwisk. A Łukasz miał dobrą pamięć – i łatwo przyswajał.

– Żeby z daleka było widać, już na pierwszy rzut oka, jakie są twoje plany, tak? – zapytał Tomek, trącając palcem w znaczek z podobizną Lennona. – To znaczy, żeby wszyscy wiedzieli, że włosy już ci nie rosną normalnie, ale że je zapuszczasz – w celach światopoglądowych?

Łukasz zawstydził się. Rzeczywiście, chyba przesadził. A Tomek, który przecież sam go do tego światopoglądu wcześniej tak skutecznie przekonywał, znowu wywracał wszystko na opak. Ale robił to, trzeba przyznać, umiejętnie i najwyraźniej w jakimś celu. Nie po to, by tylko wyśmiać i zanegować, ale by pomóc i poprawić – żeby w końcu mieć Łukasza zupełnie po swojej stronie. W ten sposób doszło do być może najważniejszej lekcji, po której Łukasz miał w końcu światopogląd ustawiony jak trzeba.

– U neofitów to normalne – zaśmiał się Tomek. – To jest jak choroba dziecięca. Przez to po prostu trzeba przejść. Żeby nabrać odporności i potem mieć się już zdrowo.

Znowu te obce słowa! Sprawdzić „neofitę"!

– Chodzi o to, żeby nie dać skomercjalizować swojej naiwności. – No i znowu, następne: „komercjalizacja"! – Żeby nie dać się zrobić.

Na tym się właśnie hipisi wyłożyli: dali się zrobić. Zbyt poważnie podeszli do sprawy, przejęli się rolą. Chcieli od razu cały świat zmienić. I poważnie uwierzyli w to, że to jest możliwe. A tymczasem ich stroje trafiły do katalogów mody i w zasadzie było już po wszystkim: hipisi zostali spacyfikowani. Przerobili ich na towar, który można było z zyskiem sprzedawać tym, którzy zawsze chcą tylko nadążać za modą. Długie włosy, koraliki, muzyka rockowa i indyjska cepelia, cały ten „hipisowski styl" – wszystko na sprzedaż. A hipisi – naiwni, poważnie przejęci misją zbawienia świata i rewolucją świadomości – nie mieli potem z tego nic, chociaż w sumie to właśnie oni tę modę zapoczątkowali, nakręcili koniunkturę. Wykiwano ich z interesu, przerobiono na manekiny w cudzym sklepie. I większość z nich chyba nawet dzisiaj nie potrafiłaby powiedzieć, w którym miejscu zawalili sprawę.

– Kiedy wstałem rano, otworzyłem puszkę piwa. Przyszłość jest niepewna, koniec jest zawsze blisko. To Morrison. I te słowa więcej są warte niż całe to gadanie o zbawianiu świata. – Tomkowi jako hipisowi wcale nie zależało na tym, by należeć do głównego nurtu, i to chyba nie tylko dlatego, że ten główny nurt płynął z dala od miejsca, w którym jemu samemu przyszło żyć (i dużo wcześniej). Chronologia i geografia miały tutaj niewiele do gadania. To nie dlatego trzymał się nieco na uboczu głównego nurtu. Chodziło o sprawę dużo bardziej zasadniczą. – Mówi się, że dorsi to hipisowska muzyka. Bzdura! Dorsi, a właściwie Morrison, to krytyka hipisowskiej naiwności: muzyka to twój jedyny przyjaciel, a jedyna rzecz, której możesz być pewien, to koniec – tyle Morrison miał do powiedzenia na temat całej tej przebieranki *flower power*. A kiedy muzyka się kończy, trzeba pogasić światła – i już.

Tomek był hipisem-pesymistą. Na to, żeby być w pełni zdyscyplinowanym i nie zadającym zbędnych pytań bojownikiem idei, był może za inteligentny, nie nadawał się na zwykłego szeregowca frontowego: za dużo sobie myślał. Jemu nie chodziło o to, żeby zbawiać od razu cały świat, ale przede

wszystkim o to, żeby samemu *nie dać się zrobić*. Najpewniejsza metoda na to, żeby nie zostać manekinem w cudzym sklepie, wydawała się prosta, chociaż może dziwna na pierwszy rzut oka: postawić na przegraną – a zanim do tego dojdzie, starać się mimo wszystko bawić jak najlepiej. Wydać na siebie wyrok, a potem – być najweselszym ze skazańców. I zawsze wiedzieć, co jest grane: że koniec końców to wszystko do niczego dobrego nie zmierza. Jeśli marzyć – to na wszelki wypadek tylko beznadziejnie; nie dać się nabrać. A gdy będzie już po wszystkim, nie mieć do nikogo żalu; być panem własnej przegranej.

– Kiedy zrozumiesz, że sytuacja jest poważna, właśnie dlatego najlepiej nie podchodzić do tego zbyt poważnie. Szkoda na to czasu. Cieszmy się dzisiaj, bo to właśnie są te stare dobre czasy, do których będziemy tęsknić za piętnaście lat. Lepszych czasów już nie będzie.

When I woke up this morning I got myself a beer
The future is uncertain, the end is always near.

***

A Przemek – bardziej niż nonkonformistą i outsiderem – był po prostu niechlujem; przynajmniej na takiego wyglądał. Jako dziecko rodziców politechnicznych nie trzymał się swojej grupy, odstawał do niej – nie robił tego jednak w jakiś ostentacyjny sposób, lecz właśnie byle jak. On nie kontestował, on olewał. Jakby niechcący, przypadkowo i bezwiednie – miał wszystko gdzieś. Też był trochę – albo nawet więcej – jakby nie z tego świata, ale nie robił z tego widowiska. Mówiąc językiem heglowskim, można by rzec, że Przemek był *antytezą* Tomka, a fakt, że na siebie trafili – nieuchronnym skutkiem konieczności *dialektycznej*. Łukasz jednak w nie mógł wtedy w ten sposób tego widzieć, czyli tymi słowami opisać. Bo wtedy Hegla nie było jeszcze w jego świecie. Z tych samych powodów nie mogło Łukaszowi przyjść na myśl, że swoim zachowaniem Przemek może trochę przypominać sprytnego Sokratesa – którego inteligencja i zapobiegliwość na tym

właśnie polegały, żeby na początek udawać zawsze raczej głupka, a nie się od razu wymądrzać, i jakby co, to nie ja, ja nic nie wiem. Bo starego Sokratesa, podobnie jak Hegla, też wtedy nie było jeszcze…

Przemek mieszkał w domu *poniemieckim*. Chociaż dawno po wojnie, dom ten – także za sprawą Przemka – wciąż był poniemiecki. Na pierwszy rzut oka wyglądał jak zwykły dom, ani polski, ani niemiecki – po prostu dom, mieszkalny. Gdy już się wstępnie skumplowali, zaczepili o siebie jakoś, Przemek zaprosił do siebie obu, Łukasza i Tomka.

– No i „Mein Kampf", oczywiście, że tak, też jest – powiedział, gdy weszli do środka i mogli wszystko zobaczyć na własne oczy. I pokazał chłopakom książkę, z której poza tytułem i zdjęciem autora na pierwszej stronie nie mogli oni zrozumieć nic więcej: była napisana *po hitlerowsku*.

– Jak uciekali, to nie wszystko brali. Bo albo za ciężkie, albo już niepotrzebne. – Uśmiechnął się, pokazując na stojące pod ścianą pianino. – Z Breslau – powiedział. – Pianino i „Mein Kampf", po tym się poznaje każde dobre poniemieckie mieszkanie. Dom był dwurodzinny. Rodzina Przemka zajmowała mieszkanie na piętrze, na dole mieszkała ciocia. Za Niemca mieszkały tutaj widocznie też dwie rodziny: w domu zostały dwa egzemplarze „Mein Kampf". Czy w mieszkaniu na dole, u cioci, też było pianino, o tym Przemek nic nie powiedział.

A jeżeli Przemek miałby mieć jakieś osobiste pretensje i urazy do hitlerowców, to chyba głównie z powodu tego pianina właśnie. Przez ten cholerny mebel, tylko dlatego, że tutaj został – bo był za ciężki na to, żeby go Niemcy zabrali ze sobą w cholerę, gdy sami się stąd w cholerę wynosili – Przemek jako dziecko, mimo że nie miał do tego szczególnych uzdolnień, o chęciach już nawet nie wspominając, musiał uczyć się gry na pianinie. Podobnie zresztą jak jego starszy brat, który ponoć w równym stopniu co Przemek serdecznie tego nie cierpiał. Od tamtej pory minęło już na szczęście trochę czasu – i pianino stało teraz nieużywane. A z drugiej stro-

ny, melodią odległej przyszłości pozostawała kontrowersja (do której jednak nieuchronnie dojść musiało), kto z nich zabierze poniemiecki instrument do swojego domu, gdy każdy z nich założy już własną rodzinę: czyje dzieci będą mogły na nim pobierać lekcje gry – Przemka czy jego brata? W końcu to pianino to nie byle co – dobre, niemieckie, z Breslau!

W swoim pokoju – który należał już tylko do niego, odkąd brat, jako dorosły już, bo student, zajął pokój na poddaszu i mieszkał w nim jakby w osobnym mieszkaniu – Przemek miał przede wszystkim nieporządek. On sam jednak świetnie się tutaj we wszystkim orientował i wiedział gdzie co jest; wiedział także, które rzeczy, chociaż wciąż tutaj obecne, są już od dawna niepotrzebne i właściwie równie dobrze mogłoby ich tutaj już nie być – ale które wciąż tutaj były. Na drzwiach szafy wisiały przylepione taśmą klejącą, która powoli zaczynała już puszczać na końcach, zdjęcia dobrze Łukaszowi znajome. Były to zdjęcia, które *przysyłali z NASA*. Najcenniejsze spośród nich były te, na których uwieczniony został spacer człowieka po Księżycu. Z drugiej strony najmniejsze wzięcie miały te przedstawiające twarze poszczególnych kosmonautów, na których wyglądali oni jak na kosmicznych zdjęciach legitymacyjnych: twarz i nic nie mówiące nazwisko – żaden cymes. Ale to właśnie te zdjęcia miał u siebie przylepione na szafie Przemek. Przylepił je kiedyś, a potem – już tak zostały. Przemek więcej się tym nie interesował; także tym, że być może lepiej by było, na progu nowego życia, posprzątać po tym, co było wcześniej i nieprawda – tak jak zrobił to, a przynajmniej próbował zrobić, Tomek, a w ślad za nim i Łukasz.

– A to, co to? – spytał Łukasz, udając zdziwionego widokiem zdjęć kosmonautów.

– To? To są... – Przemek uśmiechnął się – moi ulubieni kosmonauci. – Uśmiech, jakim opatrzył swoją odpowiedź, nie był dodatkiem bez znaczenia, przeciwnie: bez tego uśmiechu odpowiedź mogłaby zostać niewłaściwie zrozumiana. Przemek żartował.

– Znasz ich? Co to za jedni? – zapytał z kolei Tomek, podchodząc bliżej szafy. I też się uśmiechnął.

– Nie mam pojęcia – odpowiedział mu, również się uśmiechając, Przemek. – To są tacy… nieznani kosmonauci.

Na tym cała sprawa się zakończyła i być może w ogóle nie zostałaby zapamiętana, gdyby nie zdarzenie, jakie miało miejsce dużo później, kiedy wszyscy w trójkę byli już ze sobą w odwiecznej przyjaźni. Przemek powiedział wtedy, że dobrym pomysłem by było, gdyby ktoś kiedyś postawił w końcu Pomnik Nieznanego Przyjaciela – tak jak jest Grób Nieznanego Żołnierza; pod takim pomnikiem mógłby składać kwiaty każdy ten, komu w życiu nie dane było poznać swojego przyjaciela. I wtedy wróciło wspomnienie początku ich przyjaźni, skwitowane śmiechem i radością (było to na długo przed tym, zanim dominować zaczął śmiech bez radości): – Tak jak kiedyś ktoś sobie na szafie powiesił zdjęcia kosmonautów: ulubionych – i nieznanych. – Ale to miało się zdarzyć dopiero później. Teraz – wszystko było jeszcze przed nimi; teraz — dopiero się zaczynali.

Chociaż taki całkiem sam początek mieli już właściwie za sobą. A w mieszkaniu Przemka znaleźli się nie po to, żeby rozmawiać o „Mein Kampf" i niemieckich pianinach, ani o nieznanych kosmonautach, lecz przyszli tutaj w innym celu: żeby ostatecznie i uroczyście przypieczętować swoją trzyosobową przyjaźń. Mieszkanie Przemka obejrzeli tylko przy okazji, właściwa ceremonia odbyć się miała gdzie indziej, w warunkach konspiracyjnych – i nielegalnie. Korzystając z nieobecności brata Przemka, poszli do jego pokoju na poddaszu, gdzie jak podejrzewali – i co zresztą okazało się prawdą – nikt nie będzie im przeszkadzał. Na to żeby tam wchodzić bez wiedzy brata i pod jego nieobecność, Przemek nie miał wprawdzie pozwolenia, ale miał klucz – więc weszli. A skoro złamali już jeden zakaz, na miejscu złamali następny, do kompletu – bez tego zresztą wchodzenie tutaj nie miałoby większego sensu: wkradli się tutaj, żeby posłuchać płyt. Brat Przemka miał płyty prosto z Zachodu, oryginalne i nowe – wprawdzie kilka

sztuk tylko, ale takich płyt nie miał nawet Tomek – których nikomu nie wolno było dotykać; ponoć nawet jego dziewczyna (bo oprócz płyt brat Przemka miał też dziewczynę) nie mogła tego robić! Płyty stały w zawieszonej na ścianie drewnianej szafce, która wykonana została ze specjalnie do tego celu przystosowanej starej skrzynki po prawdziwym, francuskim szampanie! Skrzynka ta już sama w sobie była pewnym trofeum: została znaleziona w piwnicy tego dobrego poniemieckiego domu, zostawiona tam jeszcze przez *poprzednich lokatorów*. Szafka z płytami oraz sprzęt grający, z którego można było te płyty odtwarzać, stanowiły istotę tego niewielkiego pokoju, w którym poza tym było już tylko to co zwyczajnie niezbędne: łóżko, stół i szafa. Inaczej jednak niż w pokoju Przemka, tutaj wszystko było w idealnym porządku. O czym zresztą Przemek poinformował ich już na wejściu, żeby uważali, aby wszystko zostawić po sobie dokładnie w takim stanie, jaki zastali, tak aby nie zostały po ich obecności tutaj żadne ślady; nawet kolejność, w jakiej ustawione były płyty, musiała zostać *dokładnie taka sama*. Bardzo ostrożnie wyciągnął płytę najpierw z szafki a potem z okładki i położył ją na talerzu gramofonu – zagrali dorsi! A do tego jeszcze, równie ostrożnie – niespodzianka! – wyciągnął... wódkę.

To była pierwsza wódka, jaką Łukasz w życiu pił. Mieli jeden kieliszek, więc pili po kolei, jakby według starszeństwa: najpierw Przemek, potem Tomek – na końcu Łukasz. Nie wiedział, jak to się robi; nie miał wcześniej czasu ani okazji się nauczyć. Wlał zawartość kieliszka do ust, żeby poczuć smak, i – trochę go zatkało. Oczy wyszły mu na wierzch i dalej ani w te, ani wewte. Chłopaki zaczęły się śmiać.

– Łykaj-łykaj.

– Na raz!

Jakoś wreszcie udało mu się przełknąć. Druga kolejka poszła już lepiej: teraz już wszyscy byli zawodowcami. Butelka, którą Przemek miał nie wiadomo skąd – bo sam jej chyba w sklepie nie kupił, nie sprzedaliby mu przecież – była, gdy ją wyciągnął, jedynie w połowie pełna. Wypili ją raz-dwa. I cho-

ciaż potem nic nie zmieniło się w jakiś wyraźny sposób, wiadomo było, że oto zaczęło się coś nowego – i nic już nie będzie takie jak przedtem.

Po latach, kiedy kieliszek wódki był już od dawna tylko kieliszkiem wódki, który po prostu się *ciachało* albo *waliło*, Łukaszowi zdarzało się czasem wspominać – o czym jednak nie mówił nikomu – ten pierwszy raz, kiedy to zamiast po prostu, tak jak się to robić powinno, wlać wódę w siebie, nabrał jej w usta – bo chciał poczuć, jak smakuje. I uśmiechał się wtedy sam do siebie, albo do tego wspomnienia: że tamto jego zachowanie wzięło się może nie tylko z jego niewiedzy na temat tego, jak wódkę powinno się pić, ale może także – z jego ogólnego podejścia do świata jako całości: zamiast go od razu *wlać w siebie*, on chciałby najpierw – poczuć, jak ten świat smakuje. Ale takie myśli przychodziły mu do głowy zazwyczaj dopiero wtedy, kiedy zaczynał być już porządnie pijany. Żaden kieliszek nie smakował już nigdy tak jak ten pierwszy; im częściej próbował odnaleźć ten smak, tym mniej mu się to udawało – i czuł coraz mniej.

Zwykło się mówić, że dzieci po to próbują pić wódkę i palić papierosy, żeby udawać dorosłych, którymi tak naprawdę nie są. Jest to pogląd tak rozpowszechniony i utarty, że nawet te dzieciaki zdają się w to wierzyć – a gdy potem okazuje się, że to wcale nie było prawdą, jest już zazwyczaj za późno. Życie dorosłych nie wydawało się Łukaszowi wcale tak wspaniałe i pociągające, żeby warto było czym prędzej stać się kolejnym z nich. Nie, życie dorosłych wyglądało raczej mało zachęcająco. Ale życie dziecka – i tu chyba był pies pogrzebany – wydawało się jeszcze gorsze. Łukasz nie chciał już być dzieckiem, a wyzwolić się z tego próbował w taki sposób, jaki tylko był mu wtedy dostępny: dziecinny i może nieco śmieszny (chociaż nie dla niego). Najpierw więc należało złamać reguły, i po to było to całe „picie wódki", a potem – nie mieć już większych złudzeń i nadziei: przestać w końcu dawać się nabierać (jak dziecko!) na to, że „będzie lepiej" (bo nie będzie!) – i nie tracić tylko poczucia humoru. Mieć światopo-

gląd tak niekonkretny, żeby nikt nie potrafił go zniszczyć; uderzyć można tylko w coś, co jest, a w to, czego nie ma – uderzyć się nie da.

Przemek – co potwierdził czynem, którego świadkiem był Łukasz – zdawał się myśleć w podobny sposób: na pewno nie przegrywa tylko ten, kto nie staje do walki – najlepiej więc, zamiast się szarpać, dać sobie spokój.

Kiedy poznali się już wystarczająco dobrze, ale jeszcze wciąż nie na tyle dobrze, by całkowicie sobie zaufać i mówić od razu wszystko, Przemek spytał Łukasza, czy ten nie mógłby „skombinować papieru", takiego normalnego, białego – „w każdej ilości". Zapytał o to niby mimochodem i w bardzo oględnych słowach (jak się miało potem okazać, Przemek w ogóle raczej mało mówił, chociaż czasami zdarzało mu się – mówić bardzo), a zwrócił się z tą propozycją akurat do Łukasza może dlatego, że ten wcześniej skombinował sobie wojskową kurtkę – czyli widocznie potrafił „kombinować". Łukasz był nieco zdziwiony (bo po co komu papier, taki normalny, biały – i to na dodatek „w każdej ilości"?), ale powiedział, że się postara. I postarał się – skombinował ryzę papieru, więcej się nie dało. Jeszcze bardziej zdziwiony był, kiedy mama – gdy ten papier u niego zobaczyła – powiedziała mu, że „nie życzy sobie, żeby on to robił – bo z tego nic dobrego nie wyniknie". Nic z tego nie rozumiał, ani po co Przemkowi papier, ani dlaczego mama „sobie nie życzy". Nie było to jednak dla niego aż tak interesujące, by poświęcać temu więcej uwagi. W końcu tyle innych ciekawych rzeczy działo się wokół: chodził do nowej szkoły – w mieście! – usłyszał od Tomka o hipisach, właśnie wypił swoją pierwszą w życiu wódkę... I pewnie zapomniałby o całej sprawie, gdyby nie to, że wyjaśnienie tej sprawy samo pewnego dnia do niego przyszło. Po lekcjach, kiedy wyszli ze szkoły, Przemek zaoferował się, że Łukasza „odprowadzi kawałek do domu", a kiedy w trakcie tego odprowadzania doszli do budynku, w którym mieściło się inne liceum – które, jak mówiono w szkole Łukasza, myśli sobie, zupełnie głupio i niesłusznie, że „też jest najlepsze" – Przemek nagle z dziwnym błyskiem w oku

i bez słowa pociągnął Łukasza ku bramie wejściowej. Weszli do środka – chociaż Łukasz nie miał pojęcia, po co. Wszystko odbywało się jak w niemym kinie: bez słowa. Przemek pośpiesznie, ale nie biegiem, przemierzać zaczął puste o tej porze korytarze (trwała właśnie lekcja, albo w ogóle było już po lekcjach), aż doszli do drzwi toalety na piętrze. Dopiero tutaj przemówił: „Patrz, czy nikt nie idzie" – powiedział, stawiając Łukasza na czatach, a sam wpadł do pomieszczenia z pisuarami i kabinami, równocześnie sięgając ręką do swojej torby. Przez uchylone drzwi Łukasz zobaczył uwijającego się między kabinami Przemka, który rozrzucał po kątach kartki papieru. Teraz jednak nie był to już taki normalny, biały papier. To były ulotki – Przemek rozrzucał ulotki! Zanim jednak Łukasz zdążył na dobre przerazić się tym, w czym właśnie bierze udział, było już po wszystkim.

– Wychodzimy – powiedział Przemek.

I wyszli. Nikt ich nie widział – ani milicja (pozostająca na usługach Generała), ani Solidarność (która zza węgła robiła Generałowi na złość). Po wyjściu z budynku szli dalej jak gdyby nigdy nic, ani słowem nie wspominając o tym, co się właśnie przed chwilą stało. I nigdy już do tej sprawy nie wrócili; Łukasz nigdy nie dowiedział się, co właściwie było wydrukowane na kartkach, które Przemek rozrzucał w ubikacji nie swojej szkoły, i kto jeszcze stał za produkcją tych ulotek. Jakby to zdarzenia nigdy nie miało miejsca. Jakby przestało mieć ono jakiekolwiek znaczenie już w sekundę po fakcie. Za to wkrótce okazało się, że Przemek – podobnie jak Tomek – też mógł znaleźć u siebie odpowiednio już zużyte dżinsy, które mógł teraz założyć w ramach deklaracji ideowej, że on również „wypisuje się – i odmawia udziału". I więcej jeszcze: znalazł u siebie w szafie także i takie dżinsy, z których już zdążył wyrosnąć, ale które wcześniej szczęśliwie zdążył wystarczająco sfatygować – i podarował je Łukaszowi, na którego były one w sam raz.

Mogli przebrać się za hipisów.

I wtedy dopiero zabawa zaczęła się na dobre!